

CZAS DEKONSTRUKCJI

W maju br. szwedzki urząd konserwatorski (Riksantikvarieämbetet) we współpracy z władzami prowincji Örebro zorganizował międzynarodową konferencję poświęconą dziedzictwu przemysłu („Industrial Heritage as Force in the Democratic Society”). Był to czas szwedzkiej prezydencji w Unii Europejskiej; w tydzień później ministrowie kultury krajów Unii spotkali się w Falun, historycznym zagłębiu górniczo-hutniczym, wkrótce zaś potem liderzy państw członkowskich – w Göteborgu. Wiodący wątek konferencji wynikał z założenia, iż obiekt materialny jest dowodem przeszłości i świadkiem, który „opowiada” dzieje ludzi i społeczeństw, zatem zachowanie takich obiektów sprzyja zrozumieniu procesów społeczno-gospodarczych, dawnych, niedawnych i przyszłych, których uczestnikami byliśmy, jesteśmy lub będziemy. Takie ujęcie metodyczne różni się istotnie od opowieści historycznej, snutej przede wszystkim na podstawie źródeł pisanych i archiwaliów. Wymiar europejski konferencji zapewnili przedstawiciele 10 krajów, a światowy – goście z Australii i USA. Obrady toczyły się w trzech grupach tematycznych: Tożsamość (Identity), Demokracja (Democracy) i Potencjał Kultury (Cultural Force).

Wykład inauguracyjny wygłosił pisarz Anders Johnson, opierając swoje tezy na założeniu cykliczności rozwoju cywilizacyjnego, dla którego Szwecja może być wzorcem, albowiem w stuleciu 1870-1970 tutaj właśnie odbywał się najszybszy wzrost gospodarczy w Europie, a drugi w świecie po Japonii. U schyłku XIX wieku intelektualiści przeżywający boom industrializacji z obawą zapytywali o schedę poprzedniej formacji – społeczeństwa rolniczego. Tak więc wielkiej wystawie osiągnięć techniki w Sztokholmie w 1897 r. towarzyszyło powstanie Skansenu – pierwszego otwartego muzeum kultury materialnej wsi. Podobne obawy dają się słyszeć i dzisiaj: co robić z dziedzictwem zaledwie co minionej epoki industrialnej – dziedzictwem przemysłu, któremu przed stu laty towarzyszyły zapytania o płynące zeń zagrożenia. Zadaniem przedsiębiorcy była wtedy i jest dzisiaj twórcza destrukcja – dekonstrukcja. Nowe przedsięwzięcie zawsze zagraża stanowi istniejącemu, jego prominentom i aliantom. Pojawia się wyzwanie dla sił politycznych, aby tak sterować nieuchronnym procesem przemian, by nie zrzucać kosztów transformacji na tracących pracę, lecz koszty te sprawiedliwie rozłożyć na społeczeństwo, szczególnie zaś na tych, którzy stają się beneficjentami przemian. To się szwedzkiej socjaldemokracji udało.



Szwedzkie bezludzie, wielki piec hutniczy z XVIII w. w krajobrazie



Degerfors, przykład wtórnego użycia zabytkowego przęsła mostowego

Wykład końcowy wykonał brawurowo prof. M. Shanks z Uniwersytetu Stanford w USA. Pod tytułem „Ludzie i rzeczy – czas, miejsce i przestrzeń” („People & Things – Time, Place & Space”), zaprezentował zbiór pojęć wygenerowanych w obszarze tzw. nowej technologii mediów elektronicznych. Wpierw rzucił on w audytorium retorycznymi pytaniami: kim jesteście? Co tu robicie? Jaką rolę odgrywacie? – Mówicie o przeszłości, ale ona jest dzisiaj (contemporary past) wkoło nas, ta niedawna przeszłość (recent past) jest w nas – to pamięć, a przestrzeń pomiędzy nami wypełniona jest przeszłością społeczną (social past). To właśnie ona – wyrażona poprzez pojęcia tożsamości i demokracji – jest tematem tej konferencji. Kultura dzisiejsza wpływa na nas intensywniej niż kiedykolwiek przedtem poprzez swoje ikony i mity. Naszą recepcję przeszłości zdominowała nostalgia, przyprawiona estetyką patologii – doznawaniem przyjemności z oglądania destrukcji, ubytków, szczątków i śladów (pleasure of pathology). Nieznana przyszłość, przed którą dręczy nas obawa, to czas systemów informatycznych, kultury cyborga (cyborg culture). Przecież to nie rzeczy – samoloty – latają! Latają systemy – linie lotnicze! Odwiedzamy fizycznie różne miejsca i obiekty, by w nie „wniknąć” (embodiment). Ale dzisiejsza technologia elektroniczna oferuje nam zupełnie nowe doznania – podróż wirtualną – stając się przedłużeniem naszych zmysłów serfujących po zasobach informacji, zebranych w bazach danych, uczytelnicznych i przyjaźnie dostępnych na mapach (mapping). Wirtualnie zwiedzamy zaginione miasta, powstałe z ruin budowle, a nawet nigdy nie istniejące obiekty. Szyfonaż (chiffonage) – w tym momencie prof. Shanks szarmancko zdjął z szyi reprezentantki Rady Europy szyfonowy szal i wykorzystał go jako pomoc dydaktyczną – umożliwia nam zaistnienie w pofałdowanej wirtualnie czasoprzestrzeni, gdzie różne miejsca, rzeczy i momenty czasu historycznego stykają się w jednym, wybranym przez nas punkcie. Jest to impuls do poszukiwań i odkryć.

Postmodernistyczne dywagacje zza oceanu nie zmieniają faktu, iż dziedzictwo jest rzeczywistością realną – jak stwierdził prof. G. Arvastson z uniwersytetu w Uppsali, podsumowując wątek „tożsamości”. Wszak zabytki przemysłu istnieją, są użytkowane, nadużywane i manipulowane. Wiele krajów opuściło już epokę przemysłu, a inne kraje opuszczają ją w procesie transformacji (transition). Nowa ekonomia sprzyja pomniejszaniu wartości pracy i zastępowaniu jej wartością rzeczy. Ale o rzeczach, których dziś używamy, nie wiemy, jak i gdzie, a



Nora, sztafaż odprawy pociągu retro: maszynista, zawiadowca, kierownik stacji oraz woźnica

czasami nawet: po co powstały. Ich wytwórcy i dostawcy pozostają anonimowi. Żyjemy w czasie dekonstrukcji. Tożsamość jest immanentną właściwością człowieka – indywidualum, dla którego dobra dziedzictwa mogą stawać się źródłem wspomnień, doświadczeń i świadectwem (testimony) uczestnictwa w historii. Zbiór indywidualistycznych tożsamości tworzy tożsamość zespołową, przy czym wypada zauważyć różnorodność owych tożsamości kolektywnych, pokoleniowych, narodowych, światopoglądowych... Pojawia się współczesne wyzwanie o nietotalitarnym charakterze – jak dziś współżyć pośród tylu różnych tożsamości?

Aspekty zarządzania dziedzictwem w warunkach demokracji omówił prof. G. Ashworth z uniwersytetu w Groningen, bywały często w Polsce i znany z rynkowego podejścia do ochrony dziedzictwa (heritage marketing). Przecież ktoś dziedzictwo reprezentuje (ogólnie: konserwator – profesjonalista), ktoś użytkuje (ogólnie społeczność – amatorzy, mający jednak prawo wypowiedzi o losie obiektów zabytkowych), ktoś o nim opowiada (problem przekazu medialnego), a wiedza o dziedzictwie jest elementem komunikacji społecznej, szczególnie w warunkach występowania wartości wielokulturowych (multicultural values). Demokracja może przybierać wymiar lokalny, narodowy lub międzynarodowy i także może być znaczenie danego obiektu dziedzictwa. Nowoczesna idea ochrony dziedzictwa koresponduje z doktryną rozwoju zrównoważonego (sustainable development). Dyskusję podsumował prof. H. Cleere z brytyjskiego komitetu ICOMOS, stwierdzając, że dziedzictwo – zarówno jego dotykalne, jak i niedotykalne dobra (tangible and intangible resources) – nadaje historii sens. Dziedzictwo przemysłowe pozostaje w relacji z historią współczesną, zatem wydaje się, iż właściwe byłoby mówić dziś o dziedzictwie współczesnym (contemporary heritage), zamiast – przemysłowym. Wzmocni to w odczuciu społecznym te emocje, które współtworzą tożsamość indywidualną i grupową.

Program merytoryczny obrad wzbogacono scenariuszem wydarzeń, które odbywały się w środowisku czynnych zakładów hutniczych Degerfors, na terenie historycznego zagłębia górniczo-hutniczego Pershyttan oraz w warsztatach pierwszej w Szwecji linii kolejowej w Nora, czynnej od 1856 r. Podczas konferencji wielokrotnie dawał znać o sobie niewątpliwy pietyzm, z jakim gospodarze odnoszą się do dziedzictwa przemysłu, podkreślając związki swojej historii gospodarczej z pomyślnością, jaką szwedzkie państwo socjalne zapewniło swojemu społeczeństwu po II wojnie światowej. Czy w czasach dekonstrukcji, globalizmu i mniej lub bardziej widocznych tendencji neoliberalnych w narodowych gospodarkach krajów Europy nadal jest

możliwa taka rewerencja? Na to pytanie nie znaleziono odpowiedzi. Zrazu szwedzka konferencja zdawała się jedną z wielu odbywanych w świecie, jednakże wymiar filozoficzny istotnie ją wyróżnił. Otóż tradycyjnie przyczynkowy program obrad, jakkolwiek wciąż popularny, zdaje się dziś ustępować pola dyskusji holistycznej, pogłębionej egzystencjalnie i na powrót, jak przed wiekami, rozważającej istnienie człowieka wśród rzeczy, idei i systemów – ale człowieka indywidualistycznego i personalistycznego zarazem. Podobny klimat pojawia się i w Polsce. Na IV Forum Konserwatorów Conservatio 2001 w Toruniu referowano mniej niż zazwyczaj przedsięwzięć konserwatorskich, a więcej mówiono o społecznych zagrożeniach dóbr kultury. Padały gorzkie stwierdzenia: dobry gospodarz przekazuje swoim spadkobiercom nie mniej niż odziedziczył (Rubinkowicz); zamieranie wsi przeobrażającej się w wyspy betonowych obęjsk w morzu starej zabudowy (Bogdanowski); szperacze – detektorzy niszczący nieodwracalnie stanowiska archeologiczne (Lech); zagrożenie zabytków od strony konserwatorów odchodzących od „Karty Weneckiej” (Domasłowski); „nasze” i „nie nasze” dziedzictwo, dziedzictwo bez dziedziców, dziedzictwo bez ojczyzny, dziedzictwo jako łup (Tomaszewski); „nówka-nerdzewka” – pożądanym wizerunkiem obiektu po konserwacji, braki edukacyjne – zaledwie 3% społeczeństwa ma wykształcenie umożliwiające ocenę estetyczną i wartość zabytku, energię pracowników służb ochrony zabytków zżera wszechstronnie rozszerzająca się biurokracja (Rouba); analfabetyzm cywilizacyjny Polaków – wg OECD 80% nie rozumie prostych tekstów (Owczarek); zakusy władzy i biznesu na prywatyzację zabytku (Nekanda-Trepka); „złote karty” z dziejów opieki społecznej nad zabytkami w Polsce – od 1800 r.! (Midura).

Moje wystąpienia podczas tych konferencji przyjęto z zainteresowaniem. W Szwecji przedstawiłem m.in. wnioski z realizacji na Wydziale Inżynierii Lądowej PG przedmiotu „Kulturotwórcze aspekty budownictwa”, wprowadzonego w 1998 r. do programu studiów jako wynik międzynarodowego projektu Tempus-Phare. Chociaż pomysł „humanizacji” inżynierów nie jest nowy, a od lat różne gremia międzynarodowe poświęcają mu uwagę, np. SEFI, ISSEI, CESE, to metodyka i praktyczna jego realizacja wciąż pozostają wyzwaniem. Jest to też okazja do rozpoznania zasobu wiedzy o kulturze, jaką posiada współczesny student – przyszły inteligent. Niestety, szkoła średnia nie wyposaża dziś maturzysty w do niedawna jeszcze obowiązujący kanon wiedzy o kulturze, a coroczne enuncjacje prasowe po egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie dostarczają zatrważających lub groteskowych dowodów na stan świadomości współczesnego pokolenia techno, czy – jak wolą socjologo-

wie – e-generation. Wspomniałem też o innym osiągnięciu, również nowym od pięciu lat na WIL PG przedmiocie pn. „Techniki przyswajania wiedzy”, podczas którego studenci I semestru, poprzez rozmaite ćwiczenia, poznawali techniki twórczego myślenia oraz elementy pracy własnej podczas uczenia się, oceniali swoje predyspozycje, a w tym zdolność koncentracji, zapamiętywania, style słuchania i rozumowania. I tutaj poczynione obserwacje są nieoptymistyczne. Jak wykazały wyniki zajęć w roku akademickim 2000/2001, treść kilkudziesięciu tekstu jest w pełni zrozumiała jedynie dla 15%, a zadanie pt. „Curriculum vitae”, prawidłowo wykonane dla niewielu więcej, i to dopiero po obszernym komentarzu i dyskusji. Swój dowódem stanu rzeczy są teksty wpisywane w podaniach o przyjęcie na studia w rubrykę „zyciorys kandydata” – proszę sprawdzić osobiście. Czy absolwent politechniki, szczególnie ów magister powinien wiedzieć coś więcej, niż potrzeba do wykonywania danego fachu, czy też dość, jeżeli stanie się jednym z – jak dosadnie mawiają Niemcy – Fachdioten? Ustawa o szkolnictwie wyższym nie pozostawia wątpliwości, wymieniając pośród podstawowych zadań uczelni „rozwijanie i upowszechnianie kultury narodowej oraz postępu technicznego”. Podczas konferencji toruńskiej w obszernym referacie zatytułowanym „Archeologia przemysłu. Memorandum w sprawie dzieł techniki, przemysłu i inżynierii. O dziedzictwie postopionym, na przykładzie Mostu Lisewskiego w Tczewie”, przedstawiłem istotę dziedzictwa współczesnego. Wyjątkowym wprowadzeniem było poprzedzające mnie wystąpienie dr. inż. arch. Janusza Ciemnołońskiego i p. Danuty Siemińskiej pt. „Współczesna uczelnia techniczna w obiekcie zabytkowym”. Tak więc ponownie Politechnika Gdańska zaistniała na interdyscyplinarnym forum dyskusji o artefaktach przeszłości, ich identyfikacji, interpretacji, zachowaniu i ochronie.

Czy duch dekonstrukcji nam zagraża? Wydaje się, że wszelki ruch na rzecz ochrony dziedzictwa kultury w istocie swej jest w opozycji wobec totalitarnej odmiany dekonstrukcji – destruk-

cji, ogarniającej nie tylko systemy polityczne i gospodarczo-społeczne, ale też i stosunki międzyludzkie, formy współzycia społecznego oraz życie rodzinne. W ciągu jednego pokolenia – a w przypadku Polski w ciągu kilku lat – zanikła wielkoprzemysłowa klasa robotnicza i związana z nią tzw. inteligencja techniczna, jako masowe wsparcie i intelektualne zaplecze socjaldemokratów zachodnich, wypracowujących bezpieczeństwo socjalne w swoich krajach. Wysublimowała się elita wielkiego pieniądza oraz związana z nią partyjna elita władzy, tzw. klasa polityczna, czy – jak mawiają – próżniacza. Pozostali tworzą albo zastępy pracowników najemnych, albo przeważającą klasę średnią. Szczególne miejsce zajmuje liczna biurokracja, niewytwarzająca żadnych dóbr, ale na ogół nieźle się mająca. Wspomnieć wypada o zastępach bezrobotnych. Dziedzictwo w tym nieco uproszczonym otoczeniu społeczno-ekonomicznym, aby przetrwało, potrzebuje swojego lobby, swoich adwokatów wobec wszechmocy elit oraz oświeconych przewodników pośród ślepych praw rynku i zasadzek, gdzie czyha już globalistyczna hydra wielogłowa. Współczesny destruktor chętnie nazywa siebie reformatorem. Nie dekomponuje on jednak istniejących struktur, by ich elementy uporządkować po nowemu, ale rewolucyjnie niszczy zastane dobra, przyprawiając swoje barbarzyństwo szczyptą pospiesznej ideologii typu instant. Na ogół z arogancją i samozadowoleniem buduje on swój image na zgłiszczach dorobku innych. Zatem niewiele dzieli dekonstruktora od destruktora. Bywa on mistrzem pozorów, czerpiąc frazesy z repertuaru trybunów i szarlatanów. Strojny, a to w kostium demokracji, a to pocziwiny-swojaka czy salonowca, uwodzi naiwnych, nawraca błądzących, przekonuje wątpiących. Ale uwaga! Jest groźny... Jednakowoż każdego destruktora w końcu też zdestruuje następca. I to jest optymistyczna przesłanka rozważań o dekonstrukcji w czasach transformacji...

Waldemar Affelt

Wydział Inżynierii Lądowej
(Zdjęcia autora)

„O KICZU”

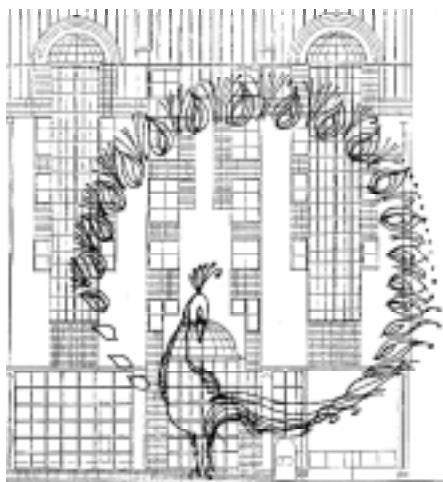
Prosta teza

Sztuka nie znosi uproszczeń – uwielbia je kicz. Sztuka przedstawi obraz syntetyczny, kicz, obraz zwulgaryzowany. „Czyż zatem sztuka nie jest środkiem służącym do odzierania życia z kiczu?” – pytał Robert Musil.

Kicz jako środek propagandy i sterowania jednostką

Obraz świata widziany przez kicz, to zbiór pojęć tak jednoznacznych, wyjaśnionych ostatecznie i do takiego stopnia, że żadna idea, filozofia, religia, a już najmniej sztuka nie są w stanie z nimi konkurować. Artyści miewają procesy, inkwizycyjne dysputy o sztuce balansującej na granicy ognia i wody – nie jest to los lekki, ale przecież sztuka pozostaje, czym jest. Kicz rozwija się tuż obok; tani, odpustowy.

Każda idea, która stosuje uproszczenie jako metodę propagandy, będzie zmierzała nieuchronnie w stronę kiczu. Jednakowo sztuczny i nadęty pseudoklasyzm budowli rządowych, jednoznaczność pomników, plakatów, filmów, lite-



My architekci bywamy niekiedy dumni z siebie

ratury, wszędzie ta sama bezkonfliktowa „sztuka propagandy”. Prawda może być prosta, nigdy prymitywna, ale tymczasem nieustanny napływ informacji komplikuje obraz świata i każdy uproszczony pogląd znajdzie swojego wyznawcę. Rewolucja dzieci-kwiatów, bunt bezradności, idee, w których brak konstruktywnej myśli szedł w parze z dobrymi chęciami, stworzyły swoistą subkulturę; pęd do wolności towarzyszył tam wyzwoleniu od wolnej myśli. Rezultatem było uproszczenie i kicz, który ogarnął rekordową liczbę wyznawców. Powstały nowe ozdoby, grafiki, piosenki, moda. Powierzchniowość idei sprowadziła się w końcu do jej znaków identyfikacyjnych: długości włosów, broszek, skarpetek, amuletów!

Przy dzisiejszych środkach przekazywania myśli jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek bliscy realizacji tego, co Hannah Arendt nazwała totalitarną fikcją.

Złożona treść sztuki nie przystaje do uproszczonych środków propagandy i budzi niepokój władzy. Werbuje się więc twórców, którzy „dzieła” tworzą na za-

mówienie. Stąd oszołamiające kariery miernot. To paradoksalne, ale jedna z pięciu zasad rządzących kiczem, sformułowanych przez Engelhardta i Killy'ego, a mianowicie zasada komfortu, znajduje tu znakomite potwierdzenie. Zmęczony, zniszczony wątpliwościami człowiek poddaje się zadziwiająco łatwo komfortowemu światu uproszczonych pojęć, tak jak tłum ulegnie w ekstazie znakom, proporcjom, hasłom i uniformom. Tkwi ten kicz w naszym sercu. I wówczas każda myśl inna będzie przedmiotem represji – komfort nie lubi wyrzutów sumienia. „Wreszcie wiadomo co dobre, a co zło; co miłość, kto wróg i jaka jest prawda”. Kicz odpowiada na pytania. Ta trywialna właściwość uchodzi często naszej uwadze, bowiem w potocznym przekonaniu na pytania próbuje odpowiadać sztuka. Rzeczywiście próbuje, w ostatecznym rezultacie sprowadza się to jednak do formułowania pytań. Sztuka pytania stawia!

Skąd wziął się zanik dobrego smaku?

Uważa się powszechnie, że winny jest modernizm. Dążenie do nadmiernego podporządkowania wszystkiego: funkcji, ergonomii, technologii – właśnie porządkowi! Arch. prof. Zieliński z Warszawy wygłaszał opinie, że przeciwieństwem chaosu jest harmonia, a nie uporządkowanie (vide opinia o modernizmie i „odreagowaniu” odbiorcy manier modernistycznej). Z tej nadmiernej prostoty, ubóstwa form, zrodziła się powszechna tęsknota do dekoracji. Ludzie budują domy z wieżyczkami, basztami, kutymi bramami i dodają jeszcze, gdzie tylko się da, parę łuków. W tym jednak jest jakieś niejasne pragnienie piękna. Tęsknota za zdobieniem, zapelnianiem pustych przestrzeni była w każdej epoce. Odkrycie Japonii w XIX wieku polegało na fascynacji, że można inaczej komponować przestrzeń. W naszej cywilizacji przestrzeń musiała być zdobiona. Wracamy więc do ozdabiania, ale brniemy na oślep, dowolnie dobierając z przeszłości i terażniejszości to, co nam się podoba. Ktoś zauważył, że wolność osadziła na tronie gust, a tym samym najbardziej niedoskonałego sędziego w sprawach piękna. „Es ist nichts furchtbarer als eine Einbildungskraft ohne Geschinack”. (Nic gorszego niż gust prostacki) – narzekał Goethe.

Kicz jako wyraz „gustu”

Kiedyś ludzie budując domy, urządzając mieszkania, poruszali się bezpieczniej, ponieważ istniała jedna konwencja. Istniały wzorce i można je było naśladować, większe wykazywano także przywiązanie do tradycyjnych form i gustów. Oczywiście, tę konwencję narzucały klasy wyższe, czyli dwa procent społeczeństwa. Na przykład przez cały wiek osiemnasty francuskie mieszczaństwo, które nabrało od końca XVII wieku aspiracji, żeby dołączyć do elity, zaczęło naśladować arystokrację w sposobie bycia. Arystokracja uciekała, odgradzała się, kreując pewien sposób bycia, pewien styl, którego mieszczaństwo nie było w stanie osiągnąć, bo to, co lansowali mieszkańcy Wersalu, było zbyt czasochłonne. Zajęci zarabianiem pieniędzy bogaci mieszczaństwo nie znajdowali czasu na uczenie się pewnych gestów, rytuałów towarzyszących życiu w luksusie. I w pewnym momencie mieszczaństwo skapitulowało. Żeby się nauczyć dworskiego stylu życia, trzeba wielu lat, a przecież należy wziąć pod uwagę, że dwór ciągle wymyśla coś nowego!

Na początku XIX wieku mamy więc już większą liczbę konwencji i sposobów życia i bycia, co wielu przyjmuje z ulgą. Jest

kultura dworska, ale pojawia się kultura ludowa – tak ciekawa dla romantyków. Zdobywa niezależność i mieszczański salon. W krótkim czasie okazuje się, że tych konwencji, poetyk sposobów wypowiedzania się może być wiele i nie musimy już podążać dokładnie tą samą drogą z oczami skierowanymi tylko na szczyt piramidy. W dodatku już nic nie trwa dostatecznie długo, co dziesięć lat można zmieniać kierunki i gusty!

Artysta, który zakłada, że jego język może być zupełnie osobny, nie będzie przez nikogo rozumiany (artysta będzie rozumiany w bardzo wąskiej grupie, a jego sztukę ktoś musi wytłumaczyć, zinterpretować). Brzydota też potrafi być fascynująca i zmusza człowieka do porównywania. Samo piękno, bez tła, może nawet nie istnieć. Nie mówiąc o tym, ile kłopotu zawsze sprawiało ludziom ustalenie, co jest piękne! Jeszcze Johann Winckelmann przekraczając Alpy zasłonił okna w karecie, bo nie mógł patrzeć na to chaotyczne zwałisko kamieni; do XVIII wieku nie obserwowano bowiem krajobrazów dla przyjemności.

Odmiany kiczu „codziennego”

Kicz towarzyszy nam na każdym kroku. Ściga nas na ulicy, w domu. Króluje. Wdzięcznym przedmiotem kolekcjonerskim są np. kiczowate pocztówki. Dziś w każdym kiosku można kupić kartę pocztową ze słodziutkimi kotkami w różowych kokardach. Takie same kotki zdobiły jeszcze niedawno bombonierki Zakładów Cukierniczych im. 22 Lipca (dawnej E. Wedel).

Jedną z najważniejszych dziedzin kiczu, to kicz patriotyczny. Na filiżance namalowano polską dziecinę prowadzoną przez anioła, nad nimi frunie biały orzeł – „orzeł-stróż”! A czymże jest, jak nie kiczem, „patriotyczna” butelka w kształcie popiersia Kościuszki? A charakterystyczne małe obrazki Bronisławy Rychter-Janowskiej, która uwieczniła swojskie dworki – tak śliczne, że aż niemożliwie ulepkowate, kiczowate, swojsko polskie!

Dziś kicz to synonim tandety przede wszystkim myślowej, ale również materiałowej i wykonawczej. Kiczowaty przedmiot zawsze udaje coś, czym nie jest. Sam pojawił się około 1869 roku w Monachium, gdzie zaczęto byle jak przerabiać stare meble na nowe. Ostatecznie nie były ani stare, ani nowe, były jakieś dziwne. Nieautentyczność, udawanie – to główne cechy kiczu eksponowane w monografiach tematu. Klasycznym przykładem jest nieśmiertelny jelen na rykowisku. Wiszące w ubogich izbach „jelenie” i landszafty o mitologicznej treści udawały dzieła akademickiej sztuki, jakimi mieszczaństwo ozdobiło salony.

Za wybitnego twórcę kiczu jest uznawany malarz Vlastimil Hofman. Wystarczy obejrzeć kilkadziesiąt jego obrazów, aby zauważyć, że autor miał kłopoty z rysunkiem, z perspektywą, a bohaterowie malowideł często mają złe proporcje. W dodatku Hofman posługiwał się tymi samymi schematami myślowymi i plastycznymi rozwiązaniami, co Jacek Malczewski. Udawał Malczewskiego! Dlatego znawcy sztuki nazywają go pogardliwie „gorszym Malczewskim”.

Kicz był, jest i będzie wszechobecny również w architekturze. Wille, których fasady wyłożono tłuczonymi lustrami lub talerzami, są oczywiście kiczowate.

Nowe spojrzenie badawcze na kicz

Historycy sztuki dopiero po II wojnie światowej dostrzegli np. pasażę, zanikającą w wielkomięskiej dżungli, które odkry-



Przybijanie ogonka

li Aragon i Benjamin trzydzieści lat wcześniej. Pasaż odślaniał im tajemnicę miasta wieku XIX, rozjaśniał ją jako najczystszy jego produkt. Inne trywialne pokłady owej epoki pasaży – czasopisma, ryciny, ogłoszenia – eksplorował wcześniej jeszcze Max Ernes, pierwszy, rzec by można, patron naszej dzisiejszej nostalgii za „drugim” wiekiem XIX.

W. Benjamin programowo rewindykował w tej orientacji zasługi swego mistrza, E. Fuchsa, badacza ilustracji i mody, czyniąc jednocześnie Baudelaire’a patronem tego sondażu peryferii dobrego smaku. Listę takich patronów dziś można poszerzać, m.in. o Champleury’ego, Goncourtów. A z dwudziestowiecznych badaczy R. Bataille’a, jednak Benjaminowi nie ujmuje nikt zasługi stworzenia kontekstu badawczego, który nadal eksploatujemy (poezja, ulica, erotyka; fotografia czasopiśmiennicza – grafika-moda).

Najbliższe warsztatowej sprawności w opisie i analizie morfologicznej są zapewne badania nad (deprecjonowaną jeszcze przed kilkunastu laty) architekturą zeszłowieczną, choć i tutaj ocena programu dekoracyjnego, będącego niekiedy antytezą kategorii decorum, posiłkuje się argumentacją socjologiczną lub wyłącznie ikonograficzną.

Dzięki środkom masowej informacji szybko powielającej źródła – oparte na fotografiach, filmie i utrwalonych dźwiękach, przemówieniach i przebojach – odtwarzany „odcinek” czasu szybko petryfikuje w styl swój repertuar znaczeń (a więc i obrazów). To zaś w jakimś sensie demobilizuje krytyczny warsztat historyka sztuki. Materiałem najbardziej podatnym na modelowanie w duchu „retro” jest obszar wizualnej informacji, w którym przestaje obowiązywać podział: kicz – dzieło. Każde pokolenie wedle Gombicha dewaluuje sztukę realizującą ideały poprzedniego. Obecnie jesteśmy świadkami rewaloryzacji poszczególnych faz stylowych nurtów historycznych architektury i „bezstylowego”, jak sądzono, eklektyzmu (eklektyzmów, asocjanizmów itd.). Zarazem koegzystencji – na kartach podręczników i w salach muzealnych, trzeciorzędnej trywialnej produkcji, dla danego czasu nie mniej reprezentatywnej niż twórczość wielkich niezależnych i mistrzów. (Pirx de Rome – Ekspozycja „Fin de siècle’u” w Musée d’Art Moderne w Pary-

żu, dawny zestaw w duchu „czystego” postimpresjonizmu, zmieniająca się od 1977 r., oraz przykład nowej kolekcji dziewiętnastowiecznej sztuki, eksponowanej w 1978 r. w Muzeum Otawy). Zwrócono uwagę na oglądane zazwyczaj z przemrużeniem oka relikty złego smaku, na mijane obojętnie wielkomiejskie pomniki, na lekceważone elewacje mieszczańskich kamienic, na ignorowane w muzealnych magazynach „chały”. Zbiegło się to z zainteresowaniem dla kiczu. Przy tym wydawać się może, że „sprawa kiczu” wykracza poza krąg owych profesjonalnych „remanentów”. Nieprzypadkowo pierwszymi, którzy dokonali na naszych oczach swoistej rehabilitacji kiczu, byli artyści i estetycy, krytycy i kolekcjonerzy, pisarze i socjologowie, próbujący nawet w płaszczyźnie teoretycznych refleksji określić, czym jest ten fenomen, uznany intersubiektywnie za coś oczywistego, w istocie niełatwy do określenia. Proces oswojenia z konwencją kiczu – by użyć Cullerowskiego terminu – wydaje się jednakże dzisiaj niezbędnym dopełnieniem prowadzonej od niedawna problemowej inwentaryzacji XIX w. Proces ten jest oczywiście wypadkową daleko posuniętej relatywizacji ocen. Zarazem bez niego nie doszłoby do całościowego odtworzenia badanej epoki.

Uwagi końcowe

Kicz uczestniczy od około stu lat w rozwoju różnych nurtów sztuk, nie można przeoczyć jeszcze jednego ogniwa, którego na ogół nie bierze się pod uwagę. Grunt pod proces oswojenia się z kiczem przygotowywały nie tylko odkrycia artystycznej awangardy, lecz także trwająca w naszym stuleciu łączność z Belle Époque. Inaczej mówiąc, z wyidealizowanym końcem epoki, którą zamknęły dwie wojny światowe. W społecznej świadomości sztuka trywialna, kicz, uosabiające tamtą epokę, stanowiły zawsze jakąś „wartość”, która dzięki rehabilitacji secesji określiła w wielu wypadkach swoją treść artystyczną. Wobec wzmagającego się od początku lat sześćdziesiątych kultu secesji, kicz przemieścił swoją peryferyjną, wstydliwą jakby pozycję, niejako ją uprawomocnił i postawił na piedestale sztuki. A więc już dziś ostrożnie z osądzaniem co jest, a co nie jest kiczem! ... Sic.

Krystyna Pokrzywnicka
Wydział Architektury

„Obieżyświat”

Marzenia

Czy trzeba wybierać się w bardzo daleką podróż, żeby przeżyć fascynującą przygodę i odkryć dla siebie jakiś mały znany zakątek Ziemi? Na pewno nie. Wszystkie miejsca na świecie mają w sobie coś, co sprawia, że każda podróż dostarcza niezapomnianych wrażeń i pozwala zaspokajać niesłabnącą ciekawość świata. Niewątpliwie jednak te najodleglejsze i najmniej poznane zakątki naszego globu mają największą siłę przyciągania. Dlaczego Syberia – i to od razu jej krańce – Republika Sa-cha, inaczej Jakucja, autonomiczna republika Federacji Rosyjskiej?

Połączyły nas marzenia o podróżach, dalekich krajach, niekoniecznie ciepłych, ale na pewno takich, gdzie można przeżyć prawdziwą przygodę. Rzut oka na mapę i wszystko jasne: niedostępna Syberia, tajemnicza Jakucja, znana Polakom raczej z relacji zesłańców niż podróżników, egzotyczna rzeka Lena, no i oczywiście wymarzone Góry Czerskiego. Chociaż mieszkamy w Polsce Północnej, od bardzo młodych lat fascynowały nas góry „różnej maści”. Zaczynaliśmy w Sudetach, Beskidach, Tatrach, potem były góry „sąsiadów”: Alpy i Góry Skandynaw-

skie. Miłość do gór i chęć przeżycia wielkiej przygody, najlepiej gdzieś na końcu świata... Ilu Polaków było w Górach Czerskiego? Na pewno niezbyt wielu – a przecież Jan Czerski, wybitny geolog i badacz Syberii, zesłany tam po powstaniu styczniowym, był Polakiem, i to właśnie na jego cześć nazwano najwyższe pasmo gór Syberii. Do tego jeszcze wielkie rzeki syberyjskie, niezmiernie tajga i tundra, o których do tej pory tylko się czytało, drewniane osady i jurty – to wszystko pragnęliśmy zobaczyć.

Przygotowania

Pierwsza rzecz to informacje, ale... przecież nie ma żadnego przewodnika po Jakucji, to nie Mongolia, Peru czy nawet okolice Bajkahi. Czarna dziura, białe plamy, ziemia splamiona krwią zesłańców, kto by się pokusił opisać jej piękno... No, nie licząc Polaków jak Jan Czerski, czy Wacław Sieroszewski, tylko... to było w XIX wieku! „12 lat w kraju Jakutów” czy „Jakuci” Wacława Sieroszewskiego opisują historię i kulturę jednego z największych ludów zamieszkujących północno-wschodnią Syberię – Jakutów. Prawdziwa kopalnia informacji! Północno-wschodnia Syberia, to także kraina innych ludów: Ewenów,

Ewenków i Jakagirów. W Internecie udało nam się znaleźć kilka stron poświęconych rzecze Lenie i ogólnie Republice Sacha. Oficjalna strona Jakucji www.sakha.ru – to prawdziwa skarbnica informacji; inną ważną stroną, zawierającą informacje o komunikacji lotniczej, wodnej i drogowej oraz mnóstwo użytecznych danych o ciekawych miejscach w Jakucji jest www.yakutiatravel.com. Są tam też adresy biur podróży, jeśli ktoś nie czuje się na siłach zdać się na własną fantazję.

Do wyprawy przygotowywaliśmy się kilka miesięcy, i merytorycznie, zbierając wszelkie informacje o Jakucji, i kondycyjnie, urządzając zimowy wyjazd w góry pod namioty („namiastka” lodowców) oraz wiosenne manewry w Borach Tucholskich („namiastka” tajgi). Nawiązaliśmy też przez Internet kontakt z jednym z jakuckich biur podróży, dzięki czemu mogliśmy uzyskać zawczasu zaproszenie i niezbędne pozwolenia. O dziwo, te wszystkie przezafaxowane dokumenty okazały się potrzebne już podczas tranzytu przez Białoruś, a na miejscu w Jakucku skróciły procedurę zdobycia pozwolenia na pobyt – do dwóch dni.

Zapadła decyzja – wyruszamy 21 lipca. W nieznanie? Może, ale to tym lepiej! Wyprawa etnograficzno-przyrodnicza stała się faktem!

Podróż

Jakucja, chociaż olbrzymia (10 razy większa od Polski) znajduje się na końcu świata, a na koniec świata dostać się nie jest przecież tak łatwo. Ze względu na wysokie koszty (ok. 200 \$), samolot odpadł w przedbiegach, kolejny rzut oka na mapę i... wszystko jasne! Koleją transsyberyjską do miejscowości Ust'-Kut (6500 km, 40 \$), a dalej rzeką Leną do Jakucka (2000 km, 25 \$). Plan trochę zwariowany, „wilcy was zjedzą” – złowrózyli niektórzy. „Już na początku?” – żartowaliśmy. To był naprawdę dopiero początek...

Dwudziestego pierwszego lipca, porannym pociągiem do Kalinigradu, w towarzystwie przemytników i kilku innych zapaleńców, w strugach deszczu ruszyliśmy na podbój Syberii. Siatki „przemytniczkę”, kilogramy czekolady, musli i kaszy, plecaki pełne sprzętu i wiara, że Syberia stoi przed nami otworem...

W Kaliningradzie przesiadaliśmy się na pociąg rosyjski, który zrobił na nas bardzo dobre wrażenie – wygodny, zadbane i funkcjonalny (miejsca do leżenia i wrzątek dostępny przez cały czas), i co najważniejsze – bezpieczny. Mijaliśmy kolejne granice byłych republik, powoli zaczęliśmy wydobywać z zakamarków pamięci jeszcze w szkole przyswajany język rosyjski, a za oknem – przedsmak tego przeogromnego kraju. Po ponad dwudziestu godzinach dojechaliśmy do Moskwy, która przywitała nas straszliwym upałem. Wieczorem odjeżdżał nasz oczekiwany pociąg, w którym mieliśmy spędzić cztery dni w drodze do miejscowości Ust'-Kut, położonej na szlaku słynnego BAM, w miejscu ujścia rzeki Kuta do Leny. Przejazd koleją transsyberyjską, która łączy Europę z krańcami Azji, to wielkie przeżycie! Za oknami zmieniają się krajobrazy, ciągnie się Nizina Wschodnioeuropejska i Zachodniosyberyjska, powoli zaczyna się tajga (jak okiem sięgnąć tylko lasy), rzadziej pojawia się zabudowa (większość stanowią drewniane wioski), przekraczamy Wołgę, mijamy Ural i wielkie rzeki Syberii: Ob, Jenisej oraz Angarę. Przez cały czas było upalnie i słonecznie, więc widoków nic nie zakłócało.

Nie mniej ciekawi niż przyroda byli dla nas współpasażerowie. W czasie podróży poznaliśmy grupkę zapaleńców z Sankt Petersburga, gotowych przepłynąć cały Bajkał na jakichś dętkokształtnych katamaranach czy pontonach. Pociąg żyje własnym życiem, stanowiąc nie lada atrakcję i źródło zarobku miejscowych mieszkańców. W czasie dłuższych postojów, kiedy to wszyscy wysypują się z wagonów na perony, a te zmieniają się w „kolorowe jarmarki”, pasażerów zewsząd otaczają „babuszki” sprzedające najczęściej domowe wypieki, ale także ryby, lody, piwo. Niektórzy pasażerowie, najwyraźniej znając te zwyczaje, w całości zaopatrywali się w żywność i inne niezbędne w podróży artykuły. Coś niesamowitego!

Ten etap podróży (ok. 6600 km) zakończył się dla nas w Ust'-Kut nad Leną, gdzie przywitała nas ulewa. Jesteśmy już na prawdziwej Syberii! Tak zaczął się kolejny rozdział naszej wyprawy – spływ rzeką Leną. Cdn.

*Emilia Żmuda-Trzebiatowska, Ula Kampowska
i Michał Małafiejski*

Studenci Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki